

ELŻBIETA na zamówienie

● Od nowego sezonu przeszła Pani z „Ateneum” do Teatru Powszechnego. Czy lubi Pani zmiany?



KĘPIŃSKA

— Na zmianę teatru zdecydowałam się po 14 latach pracy w „Ateneum”. Wyjawszy roczny pobyt na Wybrzeżu, zaraz po skończeniu studiów, cała moja dotychczasowa praca związana była z tym teatrem. Jak więc pan widzi, nie należę do osób zbyt odważnych, ogromnie przywiązuję się do miejsca, w którym żyję i pracuję. Ale zmiany (oczywiście nie za częste) są konieczne. Przejście do nowego teatru ogromnie mobilizuje aktora. Współpraca z nowymi kolegami zmusza do odświeżenia własnego warsztatu i

często pozwala odkryć w sobie nowe możliwości...

● Trzy wielkie role, o jakich marzą latami młode aktorki współpracują z wybitnymi reżyserami...

role w „Dotknięciu nocy” i „Zerwanym moście”. Teraz gram obok Franciszka Pieczki w „Grzechu Antoniego Grudy” — film jest debiutem fabularnym reżysera Jerzego Sztywierni.

— Przyznam się, że zdecydowałam się na pracę w „Powszechnym” przede wszystkim dlatego, że zaproponował mi to dyrektor Zygmunt Hübner który był pierwszym moim dyrektorem, kiedy po studiach znalazłam się w Teatrze Wybrzeże. Ten jeden sezon na Wybrzeżu ogromnie wiele mi dał. W ciągu roku zagrałam trzy wspaniałe role: Jo w „Smaku miodu” w reżyserii K. Swinarskiego, Polly w „Operze za trzy grosze” w reżyserii J. Golińskiego oraz Ofelię w „Hamlecie” w reżyserii A. Wajdy.

— Tak, szalenie łatwo wystartowałam w teatrze, co było moim szczęściem i nieszczęściem...

● ...szczęściem na pewno, ale dlaczego nieszczęściem?

● W życiu prywatnym jest Pani żoną popularnego aktora Władysława Kowalskiego, Gracie Państwo w tym samym teatrze. Jakże są plusy i ewentualne minusy aktorskiego małżeństwa?

— U nas niesłychanie łatwo kreuje się gwiazdy i równie szybko o nich się zapomina. Nikt nie bierze przy tym pod uwagę faktu, że nie każda rola daje aktorowi pole do popisu i możliwości tworzenia interesującej postaci...

— Przede wszystkim wzajemnie pomagamy sobie w pracy. Patrzymy zresztą na swą pracę bardzo krytycznie, jesteśmy wobec siebie wymagający, co nie przeszkadza, że oczywiście bronimy siebie nawzajem, jeśli zachodzi taka potrzeba. Mam ogromne zaufanie do męża, którego zdanie i opinia na temat mojej pracy są dla mnie najważniejsze. A jakie są minusy aktorskiego małżeństwa? Chyba to, że kłopoty i ewentualne niepowodzenia jednego uderzają w nas oboje. Moje konflikty przenoszone są na męża i odwrotnie. I ta „podwójna” trema w momencie premiery! Ale mimo wszystko lubimy grać razem. Tak jest od początku — kiedy po skończeniu Szkoły Teatralnej w Warszawie razem debiutowaliśmy w „Smaku miodu” na Wybrzeżu.

● W ostatnich sezonach grała Pani w „Ateneum” dość rzadko...

— Po „Szewcach” Witkacego następne trzy sezony były dla mnie stracone, zagrałam tylko epizod Cissy w „Bloomusalem” wg Joyce’a...

● Publiczność pamięta świetną Pani rolę w sztuce „Dwoje na huftawce” Gibsona w reżyserii Andrzeja Wajdy. Pani partnerem był wówczas Zbigniew Cybulski...

— Jestem szczęśliwa, że udało mi się pracować ze Zbyszkiem Cybulskim. To był wspaniały aktor, choć jako partner był niesłychanie trudny. Bez przerwy improwizował na scenie, żaden ze spektakli „Dwoje na huftawce” — a graliśmy to ok. 200 razy — nie był powtórzeniem poprzednich. Zbyszek był niesłychanie życzliwym kolegą. Kiedy grałam z nim, miał za sobą już wielki sukces w „Popiele i diamentach” Wajdy, mimo że nie było w nim ani cienia zaręczynowości.

Rozmawiał:
STEFAN DRABAREK

Foto:
RENATA PAJCHEL

● W Teatrze Powszechnym ma już Pani za sobą premierę „Sprawy Danton’a” Praybyszewskiej w reżyserii Andrzeja Wajdy.

— Gram rolę Eleonory, kochanki Robespierre’a. Rola niewielka, bo Przybyszewska, mimo że kobieta, w swych sztukach nie daje aktorom zbyt wiele pola do popisu...

● Po długiej przerwie zobaczymy Panią w filmie...

— Moje kontakty z filmem nie były nigdy częste. Z dorobku filmowego najbliższa mi jest Kazia z „Samsona” Wajdy oraz

Zaczął się od popisów panna Rubaschkina — Niemca rosyjskiego pochodzenia, który w nocnych klubach Hamburga prezentował własną wersję „Kajdany”. Zainteresowała go tym niemiecki specjalista od muzyki rosyjskiej. Dyryktor Duranin i piosenka została nagrana przez jego zespół. I tak wywodzi się z rosyjskiego śpiewa ludowego, „Wynaleziony” powtórnie przez niemieckiego artystę, rozstawiony przez włoską pianistkę Dori Ghezzi i sparodiowany świetnie przez polski zespół Tropicale Tahiti — rozpoczął swą karierę kazaczek.

Nazywają go tańcem naszych baci, a swą prawdziwą nazwę — wdziedzica miastu Charleston w USA. Był to początkowo taniec Murzynów amerykańskich, ale w latach 20-tych zawojował salony tańczone na obu półkuliach. Ma żywe tempo, wymaga od tańczących dużej zręczności, a ostrych i gwałtownych ruchów. Wierzą, że łatwo nim nadwerżyć i zapkę kolana. U nas spopularyzował go bodaj najbardziej sam mistrz Sempolński.